

Halina Jóźwik - Zbierska ps. Gidia

pielęgniarka

W Powstaniu:

Szpital Maltański a następnie szpit.prow.nr 2 - ul. Chmielna 28

Fragment wspomnień ze Szpitala Maltańskiego

Dla mnie powstanie zaczęło się w Szpitalu Maltańskim na Senatorskiej 42, do którego zgłosiłam się około godziny 17, dyżurem na sali operacyjnej, jako pomoc obok dwóch zawodowych pielęgniarek. Wkrótce szpital zaczął zapełniać się rannymi, a dyżury trwały nie osiem, a kilkanaście godzin. Rannych donosili sanitariusze i sanitariuszki z oddziałów, ale i my ze szpitala też pomagaliśmy. Kilka razy przynosiliśmy rannych z placu Teatralnego, gdzie trwały ciężkie boje. Przy pierwszej operacji kazano mi trzymać amputowaną nogę bodaj osiemnastoletniego żołnierza. Początkowo wszystko szło dobrze, ale gdy po odpiłowaniu kości poczułam ciężar bezwładnie opadającej kończyny; osunęłam się na nią. Ocuciła mnie wylana woda na twarz i soczyste przekleństwa chirurga.

Drugiego dnia powstania rano do szpitala przyszła kobieta ubrana po wiejsku trzymając pod pachą tłustą kurę. „Przyniosłam ją dla naszych rannych żołnierzy, żeby szybko wyzdrowieli.” Poprzedniego dnia przyjechała ze wsi i powstanie ją zaskoczyło.

Po jednej z wielu akcji trafił do naszego szpitala młody żołnierz, o którym koledzy mówili, że jest bardzo zdolnym malarzem. Sam mocno zszokowany. Lekarz obejrzał jego rękę. Amputować — była decyzja. Wielu rannych jęcząc na noszach czekało na pomoc, a ręka mimo że nie miała potrzaskanych kości wymagała wielu godzin pracy, by z poszczególnych ran wydobyć resztki poszarpanego munduru, odłamki metalu i brud. Decyzja lekarza ocuciła biedaka. Błagał, żeby zostawić go w spokoju, woli umrzeć niż stracić rękę. Wówczas poszłam prosić lekarza, by spróbował, może się uda, może nie przyjdzie zakażenie, a w najgorszym razie jeszcze zdąży amputować — to malarz, cóż zrobi bez prawej ręki. Lekarz zgodził się. Mniejsze rany oczyściłam sama, poważniejsze nieprzytomnemu znów opatrzył lekarz. Gdy po tych zabiegach znów oprzytomniał i zobaczył swą rękę całą osnutą białymi bandażami, ułożoną na tak zwanym samolocie, uniósł się na lewej ręce, złapał mnie za szyję i z wdzięcznością ucałował. Przez kilka dni był jeszcze u nas, nawet nie gorączkował. Potem przeszedł do szpitala w oddziale. Sądzę, że ręka jego została uratowana.

Po kolejnym przejściu Szpitala Maltańskiego przez Niemców w połowie sierpnia i ewakuacji z niego wszystkich rannych i całego personelu, po kilku dniach zostałam samodzielną siostrą operacyjną w szpitalu prowizorycznym nr 2/1 na ulicy Chmielnej w byłej klinice dr. Webera. Szefem był dr „Wilk”, pracował tam również dr Adam Pacyński, a intendentem był Feliks Chmurkowski. Któregoś dnia na sali opatrunkowej robiłam zastrzyk z morfiny ciężko rannej w kręgosłup kobiecie. W pewnym momencie wpadł dr Pacyński i krzyknął, bym uciekała. Chciałam skończyć zastrzyk, by, choć moralnie pomóc strasznie cierpiącej. Wówczas siłą wypchnął mnie. Zatrzymałam się pod grubym filarem z obtartymi kolanami. To mnie uratowało od niechybnej śmierci. Usłyszałam bowiem łomot i trzask. To pocisk „krowy” wpadł z boku. Z sali opatrunkowej i operacyjnej została kupa gruzu. Ranna rozdarta została na strzępy. Sale operacyjne musieliśmy przenieść do piwnicy. Operacje brzuszne i trepanacje czaszki przejął szpital sąsiedni. Tak minęło sześćdziesiąt dni powstania pracy sanitarnej.

Dzień kapitulacji był dniem strasznym. Przez przeszło sześćdziesiąt dni byliśmy wolni i mogliśmy tłuc Niemców. Przez większość dni duch był wspaniały, wierzyliśmy w nasze zwycięstwo. Nie słyszałam skarg na głód, mimo że zapomnieliśmy, jaki smak ma chleb. Wody nie było. Narzędzia chirurgiczne dla dezynfekcji wypalałam w czystym spirytusie, którego było w bród. Nikt nie pytał, do jakiej kogo przedtem należał organizacji konspiracyjnej. Z dumą nosiliśmy białe-czerwone opaski z literami W-P i orłem polskim pośrodku na lewych rękawach. Pod koniec jednak powstania zaczęło wstępować zwątpienie. Na nic się zdały naloty samolotów alianckich, które w biały dzień dokonywały zrzutów. Broń szła do nas, a amunicja do Niemców lub odwrotnie. Czuliśmy, że jesteśmy osamotnieni, otoczeni przez Niemców, wyczerpani do ostatnich granic i że jest nas coraz mniej zdolnych do walki, a coraz więcej rannych i grobów.

Najbiedniejsi byli młodzi żołnierze leżący w okropnych warunkach w naszym już „piwnicznym” szpitalu, którzy w walce o wolność stracili ręce, nogi, a dziś znów szli do niewoli. Wierzyliśmy jednak, że nie na długo. Mimo że wysiedleńczy dom miałam niedaleko — do Brwinowa było zaledwie dwadzieścia km — nie mogłam zostawić moich rannych. Poszliśmy razem do niewoli.

Maszynopis, oryginał, wrzesień 1967, IH PAN.

Źródło

Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim, PIW 1973 oraz Muzeum Powstania Warszawskiego